


MAREK
KRAJEWSKI

MARIUSZ
CZUBAJ

**róże
cmentarne**



Marek Krajewski (ur. 1966) – najbardziej dziś znany polski autor kryminałów. Z wykształcenia filolog klasyczny. W 1999 roku debiutował *Śmiercią w Breslau*, pierwszą z serii powieści z Eberhardem Mockiem, których akcja rozgrywa się w dawnym Wrocławiu. Kolejne tomy bestsellerowego cyklu to *Koniec świata w Breslau* (2003), *Widma w mieście Breslau* (2005), *Festung Breslau* (2006) oraz *Dżuma w Breslau* (2007); w 2009 roku ukaze się kolejna powieść.

Marek Krajewski otrzymał Paszport „Polityki” za rok 2005 oraz honorową Nagrodę Wielkiego Kalibru 2007. Jego powieści są tłumaczone na osiemnaście języków. Strona autora www.marekkrajewski.pl

Mariusz Czubaj (ur. 1969) – antropolog kultury, wykładowca w Szkole Wyższej Psychologii Społecznej w Warszawie. Autor książek: *W stronę miejskiej utopii* (2007), *Krwawa setka. 100 najważniejszych powieści kryminalnych* (razem z Wojciechem J. Bursztą, 2007) oraz kryminału *21:37* (2008).

W 2008 roku ukazała się *Aleja samobójców*, pierwsza część nowego cyklu, którego bohaterem jest nadkomisarz Jarosław Pater, pracujący w trójmiejskiej policji. *Róże cmentarne* są kontynuacją jego przygód.

MAREK
KRAJEWSKI
MARIUSZ
CZUBAJ

róże
cmentarne

Gianrico Carofiglio	Świadek mimo woli
Mariusz Czubaj	21:37
Martha Grimes	Hotel Paradise
	Stacja Cold Flat Junction
	Hotel Belle Rouen
	Pod Huncwołem
	Pod Przechytrzonym Lisem
Jean-Claude Izzo	Total Cheops
	Szurmo
	Solea
Tomasz Konatkowski	Przystanek Śmierć
	Wilcza wyspa
Marek Krajewski	Koniec świata w Breslau
	Widma w mieście Breslau
	Festung Breslau
	Dżuma w Breslau
Marek Krajewski, Mariusz Czubaj	Aleja samobójców
Jens Lapidus	Szybki cash
Henning Mankell	Morderca bez twarzy
	Psy z Rygi
	Biała lwica
	Mężczyzna, który się uśmiechał
	Fałszywy trop
	Pięta kobieta
	O krok
	Zapora
Aleksandra Marinina	Kolacja z zabójcą
	Gra na cudzym boisku
	Ukradziony sen
	Złowroga pętla
	Śmierć i trochę miłości
	Męskie gry
	Zabójca mimo woli
Zygmunt Miłoszewski	Uwikłanie
Denise Mina	Pole krwi
	Martwa godzina
Joanna Szymczyk	Ewa i złoty kot

MAREK

KRAJEWSKI

MARIUSZ

CZUBAJ

róże

cmentarne

Copyright © by Marek Krajewski, Mariusz Czubaj, 2009
Wydanie I
Warszawa 2009

Chcemy wrócić przed czwartą i pójść nad morze po południu, kiedy słońce słabiej grzeje, a na plaży jest mniej ludzi. W końcu mamy teraz najdłuższe dni w roku...

Kazimierz Kwaśniewski, *Zbrodniarz i panna*

Są zdarzenia, które trafiają niczym precyzyjny cios boksera.

Mówiąc językiem boksu: Kazimierz Ziętek został „napoczęty” w poprzedniej rundzie. Jego przeciwnikiem był alkohol, którego nadmiar spożył dzień wcześniej.

Zaczął się od tego, że poszedł na imieniny do kolegi z tartaku, Jana Gawrona, zwanego „Wkrętakiem”. Solenizant nie przepuścił żadnej okazji, by zrobić butelkę z kolegami, a zapach wódki wyczuwał z dużej odległości – niczym sejsmograf tąpnięcia gdzieś w strefie Mórz Południowych. Wkrętak opanował sztukę alkoholowego *public relations* do perfekcji: o swoich urodzinach i imieninach opowiadał z miesięcznym wyprzedzeniem, powtarzając tę informację nieustannie w ostatnim tygodniu przed – jak mawiał – „godziną zero”. Jeśli dzień imienin, urodzin lub jakiejś innej okoliczności towarzyskiej wypadał w środku tygodnia, urządzał przyjęcie w tymże dniu i nigdy go nie przesunął na najbliższy weekend, który wykorzystywał zwykle na „poprawiny” odpowiedniej „imprezy”. Solenizant pochodził spod Krakowa i zapewne z powodu galicyjskich korzeni był wyjątkowym sknerą. To właśnie natura skąpca sprawiła, że z czasem Gawron, uwielbiający prezenty i alkohol, zaczął świętować także – chociaż był wdowcem od ponad dziesięciu lat – rocznicę ślubu. Nikomu z biesiadników nie przeszkadzało to w najmniejszym stopniu.

Wkrętak nie był wybredny. Życie nauczyło go, że spieniężyć można wszystko, zapraszał zatem na swe uroczystości kogo tylko mógł i przyjmował każdy prezent. Podczas ostatniego spotkania, z okazji rocznicy ślubu, trafił się prawdziwy rarytas, gdy jeden z gości przyniósł kilka kilogramów miedzi z elektromagnesów służących do samoczynnego hamowania pociągu. Wkrętak upłynął cenny prezent w niedużej fabryce gwoździ koło Pucka.

Wszystkie imprezy organizowane przez Gawrona kończyły się tak samo. Zawsze na koniec ci, którym podzielnosc uwagi pozwalała jeszcze na picie i słuchanie opowieści, musieli wysłuchać, jak to przed prawie trzydziestu laty Wkrętak pracował na wydziale K-1 Stoczni Gdańskiej. Na tym wydziale, który jako pierwszy, o szóstej rano 14 sierpnia 1980 roku, rozpoczął historyczny strajk. Wkrętak opowiadał też, że na własne oczy widział, jak wąsaty elektryk przeskakiwał przez mur, by poprowadzić potem strajkujących do zwycięstwa. „Gdybym go powstrzymał, gdyby wtedy nie skoczył przez mur, byłoby inaczej... Lepiej”, dopowiadał cicho, ale bełkotliwy szept mieszał się już wtedy z pijacką czkawką.

Kazimierz Ziętek słyszał wielokrotnie puentę tej opowieści i też miał prawo myśleć, co by było, gdyby... Kilka godzin później zastanawiał się na przykład, co by było, gdyby nie poszedł na imieniny do Wkrętaka i spędził wieczór ze swoją konkubiną. Albo gdyby pamiętał, że sknera Gawron kupuje wódkę najgorszą i upadlającą oraz najtańsze, wzmacniane spirytusem piwo na dobicie. Ale to było kilka godzin później. Teraz w jego

głowie kłębiły się tklive myśli, erotyczne tęsknoty i niebezpieczne żołądkowe zapowiedzi.

Gdy Kazimierz Ziętek otworzył drzwi klatki schodowej przy ulicy Morskiej w Gdyni, poczuł, że za chwilę eksplodują mu trzewia i głowa. Marzył już tylko o jednym: by wtulić się w Złotko, w jej biodra rozłożyste niczym wachlarz, i przespać się chociaż ze trzy godziny.

Wieloletnia partnerka życiowa Ziętka nazywana była „Złotkiem” nie z czułości, ale ze względu na swą rzadko spotykaną posturę. Miała sto dziewięćdziesiąt centymetrów wzrostu, co – w oczach wielu mężczyzn – upodabniało ją do polskich siatkarek. „Tylko nie pozwólcie jej skakać”, Ziętek mówił do kolegów, gdy był pewien, że Złotko nie słyszy. „Jej podskoki spowodowałyby wstrząsy tektoniczne. Jak w tych japońskich filmach o Godzilli”.

Była druga w nocy i alkohol w jego głowie i brzuchu buzował jak gejzer. Pech go nie opuszczał. Najpierw bez skutku szukał kluczy, a potem zaczął walić pięściami do drzwi. Złotko ani myślała otworzyć. Można by rzec, że ustawiła szczelny blok. Ziętek wytoczył się przed czteropiętrowy budynek i postanowił wejść przez balkon, ale kraty mieszkania na parterze były zamknięte, podobnie jak i okno, choć noc była parna; jedna z ostatnich w czerwcu, jedna z tych, które zapowiadają tłumy turystów na Wybrzeżu i udane wakacje. Nie pozostawało nic innego jak warować przy wycieraczce, znosić drwiące spojrzenia zapóźnionych sąsiadów i czekać, aż Złotko się zlituje i raczy otworzyć. O czwartej nad ranem Ziętka minął pan Tadek nazywany przez chłopaków z podstawówki „Czerwono-

nosym”. Przeszedł obojętnie obok, tak jak przechodzi się koło niegroźnego widma. Alkoholowe bestiariusm sprawiało, że Czerwononosy często nie mógł zasnąć. Bał się koszmarów dopadających w godzinach najgłębszego snu. O czwartej rano pan Tadek krążył więc między blokami i szukał kompana, z którym mógłby chlapnąć. Tak na uspokojenie.

O piątej niektórzy sąsiedzi zaczęli wyprowadzać psy. Jeden z czworonogów omal nie obsikał męczyzny drzemiącego na wycieracze. O szóstej trzydzieści Ziętek dał za wygraną. Ze Złotkiem porozmawia sobie później. I w koszuli przesiąkniętej potem, który trącił – podobnie jak oddech – niestrawioną wódką, pojechał do tartaku pociągiem, nie wiadomo dlaczego zwanym „autobusem szynowym”.

Przez następne dni Ziętek wielokrotnie myślał, co by było, gdyby jednak wziął wtedy „dzień wolny na żądanie”. Niepotrzebnie przejmował się tym, co wciąż powtarzał im szef. „Robota jest, to i ludzie się znajdują. I to lepsi od was”, te zdania brzmiały jak refren, który wbił mu się w głowę. Rzeczywiście, tartak MGM między Wejherowem i Krokową, największy w okolicy, pracował na pełnych obrotach. Jeszcze niedawno tartakom groziła zapaść, gdy wszyscy sprowadzali drewno tanie jak barszcz z Bułgarii i Rumunii. Wszystko zmieniło się, gdy kraje te wstąpiły do Unii Europejskiej i podniosły ceny surowców.

Ziętek założył robocze ubranie i wypił lurowatą kawę, po której znów zaczęło go mdlić.

– Co tak siedzisz? – usłyszał. – Długo tak będziesz się modlił?

Pięćdziesięcioletni siwy mężczyzna, który stał nad nim, trzymał w ręku wilgotnościomierz młotkowy.

- Wkrętaka nie będzie, wziął dzień wolny na żądanie. Rury mu pękły w mieszkaniu czy coś takiego...

„Akurat”, pomyślał Ziętek i poczuł, że za chwilę wy-
leje się z niego niestrawiona wódka. Widomy dowód
zbrodni popełnionej wczoraj z Wkrętakiem. Wstał cięż-
ko. W głowie mu wirowało.

- A jak nie ma Wkrętaka, to masz. - Mężczyzna wrę-
czył mu przyrząd służący do pomiaru wilgotności drew-
na. - No, ruszaj się!

Była ósma trzydzieści, gdy otworzyli drzwi suszarni.
Ziętek wbijał wilgotnościomierz w tarcicę, a siwy zapi-
sywał wyniki pomiaru.

- Wiesz co? - Ziętek odwrócił się w jego stronę. - Zro-
bimy pomiar, a potem pójdę do kanciapy, kimnę się
z godzinkę, co? - Uderzył w kolejną partię tarcicy. - Zo-
stanę dziś dłużej, co?

Mężczyzna milczał.

„Coś jest nie tak”, pomyślał Ziętek, „ten ciul chce mi
dopiec, że niby jestem trochę zaprawiony, i nie zgo-
dzi się”.

Nagle zrozumiał, co sprawiło, że jego gderliwy szef
nie odpowiada.

Dźwięk. Inny dźwięk.

Wilgotnościomierz wbijany w tarcicę wydaje inny
dźwięk. Ten był podobny do przytłumionego klaśnię-
cia.

Coś się nie zgadzało. I skąd taka wysoka wilgotność?
Powinna być o wiele mniejsza. Uderzył młotkiem raz
jeszcze.

Siwy wyciągnął rękę i gwałtownie, z okrzykiem obrzydzenia, ją cofnął. Zaczął się trząść.

- To nie tarcica... - wykrztusił. - To człowiek... Trup....
Wysuszyło go na wiór...

Cios doszedł celu. Zanim Ziętka oblał zimny pot, zanim poczuł kwaśną kluskę w gardle, zanim zobaczył wirujące czarne plamy przed oczami, zanim to wszystko poczuł i ujrzał, dostrzegł strzępy granatowej dżinsowej kurtki. Mięśnie jego nóg zamieniły się w watę.

Nieprzytomny zwałił się na ziemię.

Dźwięki trąbki Milesa Davisa przebiły się przez szum prysznic i warkot wiertarki u sąsiada z góry. Motyw z filmu *Windą na szafot* powtórzył się raz jeszcze, tym razem głośniej. Jarosław Pater przypomniał sobie, że telefon zostawił w kuchni na stole. Postawił mokrą stopę na nowe, przed miesiącem wymienione kafelki.

Nie spodziewał się, że kiedyś polubi „falowce”, gigantyczne blokowiska w Gdańsku-Przymorzu, wymysł architektów z czasów Edwarda Gierka, którym pofalowało mózg. Nie sądził, że przestanie przeszkadzać mu oznaczająca jego klatkę odrapana litera „H”, do której ktoś dopisał dwie inne litery: „uj”. Że spojrzy inaczej na balkony, żyjące w rytmie sezonowej mody. Wiosną balkony zapelniały się rowerami, latem i wczesną jesienią pojawiały się taborety i niewielkie grille, późną jesienią zostawały tylko sznury z praniem. Nie irytowało go już i to, że kwadrat, którego granice wyznaczał falowiec i czteropiętrowy, ustawiony do niego równolegle, równie długi tasiemiec, żyje własnym życiem, zaludniony mężczyznami popijającymi na ławce piwo i godzinami grającymi w karty. Depresji nie wywołało w Paterze wykopalisko, które wyglądało, jakby w ziemię koło falowca uderzył meteoryt. Wykopalisko przeznaczone było pod budowę hipermarketu, który miał stać się konkurencją dla pobliskiego „Reala” i „Biedronki”. Nadkomisarzowi żal było jedynie niewielkiego domku, stojącego do niedawna na terenie budowy, w którym hodowca gołę-

bi trzymał swoje stado. Pewnego dnia mężczyzna i jego chatka znikli. Jakby zapadli się w otchłani wykopanej przez maszyny budowlane.

Pod koniec maja Paterowi udało się dokończyć remont ciągnący się długimi tygodniami. Wymianę płytek ceramicznych na podłodze zaczynała ekipa, która po kilku dniach zrezygnowała i przeniosła się do Wielkiej Brytanii, pozostawiając nadkomisarza ze stosem materiałów budowlanych w małym przedpokoju. Z drugą ekipą było podobnie. Dopiero trzecia uporządkowała wszystko po poprzednikach, w czym nie małą zasługę miał aspirant Wieloch. Widząc nadkomisarza na skraju załamania nerwowego, postanowił zastosować – jak sam to określił – „czynnik perswazyjny”.

Pewnego dnia wszedł do mieszkania w falowcu na Przymorzu. W milczeniu przypatrywał się postępowi prac, po czym wyjął wódkę „Wyborową” i zaproponował robotnikom po kolejce z gwinta. Gdy wypił i otarł usta wierzchem dłoni, wyjął pistolet P-99. W ciszy, która zapadła w mieszkaniu, słychać było, jak sąsiedzi piętro niżej kłócą się, gdzie mają jechać na weekend.

– No więc jest tak – zaczął Wieloch, przeładowując broń – żeśmy się napili wódki. A po kielichu jesteśmy już kumplami, nie? A kumplom – teraz zdawało się, że waży pistolet w ręce – opowiada się o sobie. Opowiem wam, do czego to – podniósł P-99 do góry – często mi służy. Pokazuję to ludziom, którzy nie dotrzymują słowa.

I Wieloch roztoczył opowieść o tym – tak się wyraził – kogo ma na rozkładzie. I jak nienawidzi partaczy. I o tym, jak ceni zawodowców. I że nigdy jeszcze przed nim nikt nie uciekł.

- Więc, chłopaki, mam nadzieję, że też jesteście zawodowcami i że ten remont zrobicie szybko. I - zakończył przemowę - że ta wódka z wami nie była pomyłką. Że jesteśmy kumplami. Ja mogę pomylić się nie raz i nie dwa, ale mój przyjaciel - zawiesił głos i czule przejechał palcem po lufie pistoletu - nie myli się nigdy.

Klepnął oniemiałego Patera w ramię i wyszedł, zostawiając „chłopakom” napoczętą butelkę. W drzwiach jeszcze szepnął:

- Niech pan się nie martwi, szefie. Zobaczy pan, jak działa taki doping.

Wieloch nie pomylił się. W ekipę wstąpił nowy duch. Pracowali bez wytchnienia także w soboty i w niedziele, a efektem wysiłku na miarę przodowników pracy była lśniąca nowością i czystością łazienka oraz wyremontowana kuchnia. Łazienka i kuchnia, których nadkomisarz nie musiał się już wstydzić. W życiu Patera zaszły także inne zmiany. Aspirant Kulesza ze zdumieniem zauważył, że przełożony zaczął używać szamponu kolorującego, by przykryć coraz bardziej widoczną siwiznę. Zdawało się, że mgiełka złościwości i apatii, unosząca się nad Paterem, przerzedziła się w ostatnich miesiącach. Dwie pasje nadkomisarza pozostały niezmiennie: obstawianie zakładów sportowych oraz poker, chociaż przy stoliku w „Mandarynie” pokazywał się rzadziej niż kiedyś.

Ostatnio pomyślał nawet, że dwa hazardowe nałogi uzupełniały się niczym piasek przesypany się w klepsydze. Podczas gdy zakłady bukmacherskie zapewniały mu środki do życia, niekiedy przewyższające policyjną pensję, premię otrzymywaną od święta lub

honorarium za konsultacje do jednego z seriali, poker odkrywał dionizyjską naturę Patera – naturę utracjusza i człowieka, dla którego ryzyko było tym, czym dla innych kreska koksu. O ile zawsze szczylił się tym, że wieloletnia miłość do Lechii Gdańsk nigdy nie pozbawiła go rozsądku w salonie zakładów, o tyle kolejne rozkłady kart na masywnym stoliku potrafiły osłabić w nim instynkt samozachowawczy.

Dźwięk trąbki rozległ się jeszcze głośniejszy. Filmowy motyw Pater przypisał w telefonie tylko do dwóch numerów. Jeden należał do naczelnika Cichowskiego, drugi do niej. Z naczelnikiem zawarł umowę, że przed urlopem uporządkuje już tylko papiery. Że żadnych nowych spraw nie weźmie. Cichowski nie miałby po co dzwonić. To mogła być tylko ona.

Mokra stopa przywykła do dawnych wybrzuszeń, ceramicznych wynaturzeń i chropowatości wykonała ślizg godny łyżwiarza figurowego. Pater poczuł, że traci równowagę. Uderzył całym ciężarem ciała w umywalkę firmy „Kolo” i runął wraz z nią na podłogę. Rozległ się łoskot, zadudniło w kaloryferze i rurach centralnego ogrzewania, pokrytych świeżą, białą farbą. Wiertarka na górze ucichła. Na podłodze leżała nowa umywalka wśród twardych grudek cementu.

Pater z sykiem, trzymając się za żebra, wstał z podłogi. Telefon znalazł w kuchni na nowym stole, którego blat pokryty był melaminą, podobno odporną na wilgoć i zarysowania. Zanim spojrział na numer, już wiedział. To jednak nie mogła być ona. Nie miała tyle ciepłości. Jego rozumowanie było słuszne. Na ekraniku migotało „Żarówka”. Nie wróżyło to nic dobrego. Ten pseu-

donim szef Komendy Wojewódzkiej Policji w Gdańsku, inspektor Cichowski, zawdzięczał swojej łysej i jakby wypolerowanej czaszce. Żarówka dzwonił do Patera ze swojej prywatnej komórki po raz czwarty w historii ich współpracy.

Wiesz, co to jest MGM? – Cichowski zaczął bez wstępów.

– Ryczący lew.

Zapadła cisza.

– Metro–Goldwyn–Mayer. Taka stara wytwórnia filmowa. Ta z ryczącym lwem.

– Widzę, że humor ci przed urlopem dopisuje. MGM to Markowski–Gumowski–Misiak. Tartak koło Wejherowa, wiesz który?

Wiedział. Był tam kiedyś.

– Dwie godziny temu znaleźli tam zwłoki – ciągnął Cichowski.

– Co ja mam do tego? Przecież obiecał mi pan...

– Wiem, co obiecywałem – przerwał naczelnik. – Na miejscu są już ludzie z Wejherowa, ale poprosili nas o pomoc. Sprawa może być nietypowa... Wiesz, że nie mam kogo posłać. – Cichowski zaczął się nagle tłumaczyć. – Twój partner Światło jest na urlopie, inni zawałeni robotą. Zobacz, o co chodzi, najwyżej dowalimy komuś jeszcze jedną sprawę albo zepchniemy na Wejherowo.

Obaj milczeli. Na górze zaczęła się kolejna część koncertu na wiertarkę.

– Co to znaczy, że sprawa może być nietypowa? Kogoś pochlastali piłą? Wejherowska masakra piłą mecha-

niczną? – Pater poczuł pulsowanie w okolicach żeber. Dotknął bolącego miejsca i skrzywił się. – Czy jest tam już lekarz?

– Ma być Kwieciński. A co do pierwszego pytania: zwłoki znaleziono w suszarni drewna. To podobno mało ciekawy widok.

– Ale co nam do tego? – Pater nie ustępował. – Jakiś pijak wlaź do środka, zasnął i stało się.

– Zgoda – głos Cichowskiego lekko zadrgał. – Tylko nie każdy ma zgruchotaną czaszkę z tyłu głowy. Mało kto potrafi się sam tak urządzić. Znam tylko wstępne ustalenia, to oczywiście jeszcze nic, ale jedź tam, dopilnuj kwitów. A potem przyjemnego urlopu. Zgodnie z umową.

Żebra bolały coraz bardziej. Dobrze, że na miejscu ma być Kwieciński. Pater z trudem założył koszulę z krótkim rękawem. Przed falowcem podniósł rękę i pozdrowił znajomego taksówkarza. Sąsiad stał przy samochodzie. Wszystkie drzwi i bagażnik były otwarte. „Pewnie znów wiozł swojego sąsiada, gastronomo Wietnamczyka, i teraz musi wywietrzyć samochód z zapachu kota w pięciu smakach”, pomyślał Pater i wsiadł do toyoty. Niecałą godzinę później był na miejscu.